



**JANUSZ  
MAJEWSKI**

**FILM**

**- KOBIEȚA  
JEGO ŹYCIA**

**ZOFIA TUROWSKA**

MARGINESY



**JANUSZ  
MAJEWSKI**

**FILM**

**- KOBIEȚA**

**JEGO ŹYCIA**

**ZOFIA TUROWSKA**

**MARGINESY**

Życie można przeżyć tylko na dwa sposoby:  
albo tak, jakby nic nie było cudem,  
albo tak, jakby cudem było wszystko.

ALBERT EINSTEIN



„Kiedy wracam pamięcią w przeszłość – dzieli się refleksją Janusz Majewski w książce *Retrospektywka* – widzę wydarzenia jakby z boku, z najlepszych punktów widzenia, w odpowiednim oświetleniu, w określonym rytmie, jak gdyby to były zarejestrowane na taśmie filmowej ciągi ujęć, scen i sekwencji opowieści, w której los kazał mi uczestniczyć”. Owe zdarzenia, sceny i sekwencje ceniony reżyser i autor literackich opowieści opisał już w szeregu swoich książek. Ta opowieść jest dopełnieniem dokonań zawodowych i życiowych zdarzeń reżysera. Jak utwór jazzowy ma tematy główne i improwizacje, jak film ma kolejne „klapsy” i „duple”. Tak jak każdemu, chronologicznie lub nieprzewidzianie, montują się bohaterowi obrazy życia i ukazują następne odsłony...

Poglądy i przekonania, ambicje i złudzenia, ukryte czy jawne znaczenia, podatność na urazy i wstydlivość, cnoty, skłonności, wybory moralne i upodobania estetyczne, literackie, malarskie, filmowe – materia nad wyraz delikatna. Jak to się toczy w życiu, jaką drogą lub wieloma ścieżkami to idzie...

---

Scenopis, ujęcia, oświetlenie, sceny, montaż, przyglądanie się aktorom, wypowiedzianie zaklęcia: „kamera”, kiedy pada pierwszy klaps. Rozkochanie w filmie. To kobieta jego życia. Dbą



o nią każdego dnia, przygląda się jej z uczuciem, ale i rozważą. Wyraźnie widzi jej twarz, oczy, włosy. Jest jak matka, opiekunka, koleżanka, przyjaciółka, ukochana, żona, córka. W każdym wcieleniu inna forma. Inny rodzaj uczucia, oglądu, czułości, zaangażowania. I tylko o nią inna kobieta mogła i może być zazdrosna.

Pierwsze drgnienie serca odczuwa w ostatnią przedwojenną Gwiazdkę: pod choinką czeka od rodziców dziecięcy projektorek. Niedługo potem z zapartym tchem ogląda w kinie Chimera we Lwowie *Królewnę Śnieżkę* Disneya. „Takie filmy chcę robić” – myśli z naiwnością siedmiolatka. To pierwsze kino zajmuje mu umysł i serce na całe istnienie. A kiedy jest studentem architektury, z zazdrością patrzy na ekipę kroniki filmowej, która robi zdjęcia z pochodzącego pierwszomajowego: fajni faceci, wyróżniający się w bezbarwnym tłumie, jadą wojskowym dżipem, ubrani w niebanalne wiatrówki i bejsbolowe czapeczki z dużymi daszkami. Inni, jakby lepsi. Imponują mu swoją prezencją, zblazowanym pozerstwem, ale także wielkimi kamerami, które mogą „zobaczyć” tak wiele, niemal wszystko.

Myśli: pokazać magię, bajkę lub dramat, historię dotąd nieodkrytą dla ludzkiego oka, żeby fikcja przemieniła się w prawdę, a prawda w fikcję. I tak zawód staje się jego życiem, a życie zawodem. Żyje, jak sobie zamarzył...

We środę, 5 sierpnia 1931 roku, w dniu narodzin Janusza Majewskiego, dacie odpowiadającej znakowi zodiaku Lew, „Gazeta Lwowska”, ukazująca się codziennie o godzinie trzeciej po południu z wyjątkiem dni poświęconych, na pierwszej stronie, na tak zwanej czołówce, w artykule *Wojna lub pokój* wieści zawieruchę dziejową:

W niewielkiej, przyciemnionej sali Vredespaleis w Hadze zasiadło 16 sędziów świata, by rozstrzygnąć sprawę, która stała się ośrodkiem szczególnego zainteresowania i zamętu w międzynarodowych stosunkach – sprawę projektowanej unii celnej między Austrią a Niemcami [...]. Popłoch w kołach niemieckich i austriackich wywołała mowa zna-



Janus,  
jak nazywała go mama,  
Lwów, 1933.

komitego znawcy prawa międzynarodowego, profesora Scialoji. Niby groźne ostrzeżenie brzmią jego słowa: „Nie chodzi tu o sprawy, które można ujmować jako grę słów. Te sprawy, powtarzam, mogą oznaczać wojnę lub pokój”.\*

\* We wszystkich cytowanych tekstach zachowana pisownia oryginalna – przyp. red.

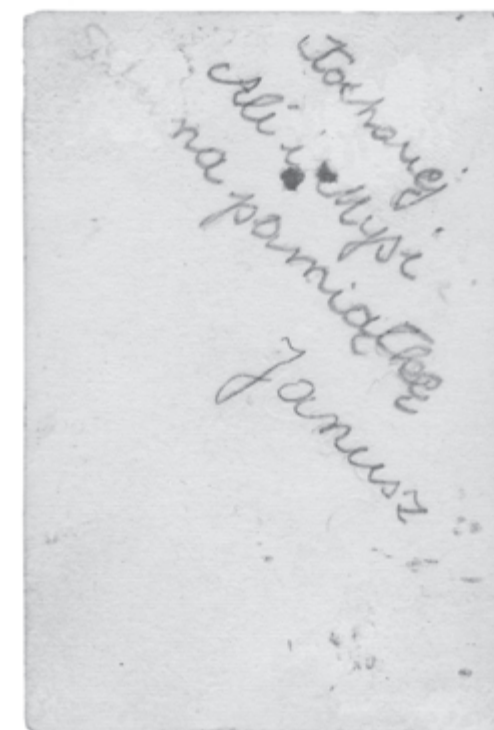
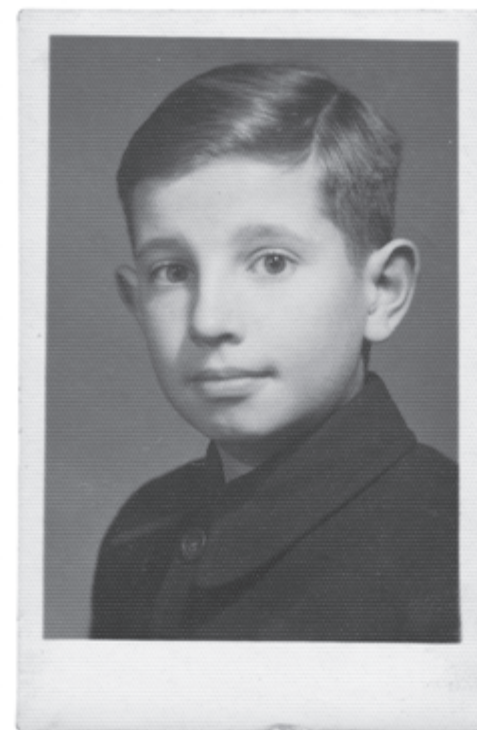
Zdecydowanie lżejszy ton nadają redaktorzy rubryce *Ostatnie wiadomości z miasta*. Pod tytułikiem *Sprytny Poldek i łatwowierna Magda* opisują, ku przestrodze, w jaki sposób Poldek Ciągajło naciągnął Magdę Żurawczyk na kilkaset ciężko przez nią zapracowanych złotych, udając kawalera gotowego do ożenku.

W tym dniu w lwowskich kinoteatrach wyświetlają: w kinie Apollo film dźwiękowy *Zbrukana lilia* z uroczą Corinne Griffith, a w Chimerze *Noc po zdradzie* z węgierską gwiazdą kina niemego, wampem Lyą de Putti.

Według założeń tradycyjnej kabały – przeświadczenia o istnieniu związku między literami hebrajskiego alfabetu a przypisaną każdej z nich wartością liczbową – imię Janusz odpowiada cyfrze pięć: namiętności i pasji, zmysłowej rozkoszy, niepoddawaniu się rutynie i schematom ani małej stabilizacji. „Piątka” próbują w życiu wielu zajęć i sztuk, żyją pełnią życia, ale są trudni jako życiowi partnerzy. Wspiera ich potęga przynależąca do planety Mars, a wszystko, co wyraża aktywną siłę, jest z „piątką” w harmonii. Pewnie dlatego moc kina, owa możliwość opowiedzenia ruchomym obrazem o człowieku, jego pasji, miłości i wolności bez względu na historyczny czas, oczarowała Janusza Majewskiego.

Ten stan czerpie z korzeni lwowskich, a przedwojenny okres II Rzeczypospolitej uważa za swoją krainę szczęśliwości.

Kiedyś, przed wiekiem, istniał w Europie taki kraj zwany Galicją – przypomina w tekście na konferencję „Dwie Europy, jedna kultura” organizowaną przez Istituto di Filologia Romanza dell’Università w Udine. – Była to część dawnej Polski zagarnięta pod koniec XVIII wieku przez Austrię w haniebnym procesie rozbiorów naszego państwa przez trzech potężnych wówczas sąsiadów: Austrię, Rosję i Prusy. Galicja w latach, o których mówię, była najuboższą częścią monarchii Austro-Węgierskiej. Kraj w większości rolniczy, cywilizacyjnie zacofany, borykał



Dziewięcioletni Januszek dedykuje swój legitymacyjny portret ulubionym kuzynkociotkom Ali i Marysi, zaledwie parę lat starszym od niego.

się z problemami społecznymi i narodowościowymi, ale w tym pełnym sprzeczności układzie rozwijała się bujnie kultura, kwitły nauka i sztuka. Dwa stare polskie ośrodki uniwersyteckie, Kraków i Lwów, ogniskowały ten żywy rozwój. Szczególnie Lwów, w którym obok żywiołu polskiego stapały się w jedność wpływy kultury ukraińskiej (ruskiej), austriackiej, węgierskiej, czeskiej, rumuńskiej (wołoskiej), ormiańskiej, a przed wszystkim żydowskiej. Właśnie to przenikanie kultur, to wzajemne oddziaływanie wytworzyło głębę, z której wyrosło wiele zjawisk do dziś ważnych dla światowej kultury, to tu biło jedno ze źródeł Mitteleuropy. O tej krainie, dziś już mitycznej, z której zresztą sam się wywodzę, myślę teraz jako o pewnym modelu, wzorcu dla naszej przyszłości.

Jak na prawdziwego Galicjanina urodzonego we Lwowie przystało, skrupulatnie obliczył, że oprócz krwi polskiej, niemieckiej, czeskiej, węgierskiej i austriackiej ma jedną szesnastą lub jedną trzydziestą drugą krwi żydowskiej.

Schyłek bezpiecznej epoki – złudnego dobrobytu i rozlewniwiąjącego poczucia pokoju – spędza na letniskach w najbardziej wysuniętym na południe zakątku II Rzeczypospolitej, na „polskiej Riwierze”, czyli w kurorcie Zaleszczyki. – Wspaniały, południowy klimat, winogrona, soczyste brzoskwinie – Majewski pamięta, jakby to było dziś. – Biały piasek parzy stopy, szeroki Dniestr płynie z dyskretnym poszumem, a na drugim brzegu przesuwają się małe figurki rumuńskich pograniczników. Kryją się za krzakami, żeby lornetować polskie letniczki w śmiałych kostiumach.

W upalnym, jeszcze beztróskim sierpniu pamiętnego roku 1939 rodzice ze znajomymi grają w brydża na tarasie plażowej kawiarni o szumnej nazwie Lido.

Drewniany stolik nakryli gazetą – wprost z fotograficzną pamięcią powraca do tamtej chwili w swoich zapiskach – żeby karty nie wpadały w szpary między listewkami blatu, a nudzący się chłopiec, przekrzywiając głowę, odczytywał fragmenty tytułów: *Minister Beck nie zamierza...*, *Kanikuła w Jastar...* Ojciec podśpiewywał modny kuplecik Lopka Krukowskiego *Ten wąsik, ach, ten wąsik*, ale pod adresem swego brydżowego partnera, który snobował się na angielskiego dżentelmena, nosił spodnie z białej flaneli, tenisową raketę od rana do wieczora i wąsy à la Douglas Fairbanks, a grał te swoje wszystkie role jak noga. Poza tym był moim wujem i mawiał: „Miej oczy szeroko otwarte, chłopcze, ucz się grać w brydża i mówić po angielsku. To wszystko, czego potrzebujesz w życiu, aby mieć świat u swoich stóp. O kobietach porozmawiamy później...”



Maria i Tadeusz Majewscy. Ostatnie wakacje przed wojną.

W ostatnią wakacyjną noc śpi niespokojnie. „Była pełnia, w świetle księżycy błękitniał nowy, odświętny mundur przygotowany na krześle. Jego umęczone serce napełniało się obawami, że będzie w tym mundurku wyglądał na prymusa, którym w istocie był, ale tego nie cierpiał” – powraca do tamtego czasu w swojej wspomnieniowej książce *Retrospektywka*. Ma iść do drugiej klasy, ale szkoła go nudzi, pociesza go jedynie myśl, że znów zobaczy złote loki Basi z pierwszej ławki, w które wpatruje się codziennie tak uporczywie, aż wreszcie: „[...] się odwracała i jej kości policzkowe zaczynały się rumienić”.

– Ujrzałem ją pierwszego dnia, na pierwszej lekcji – wspomina tę chwilę zauroczenia. – Miała oczy niebieskie jak bławatki. Przypomniała mi aniołka z choinkowego cukierka. Wpatrywałem się w nią z bezgranicznym zachwytem, kiedy oto nasza wychowawczyni zaczęła odczytywać nazwiska z katalogu (tak nazywano dziennik klasowy). Pierwszy był niejaki Abrahamowicz Adam. Nauczycielka przeczytała następne na-



zwisko: Armata Barbara. Klasa gruchnęła natychmiast salwą śmiechu i chyba tylko dlatego nikt nie usłyszał huku mego pękającego serca: z pierwszej ławki podniosła się ta zachwycająca blondyneczka, ten śliczny aniołek choinkowy i wdzięcznym głosem powiedziała: „Jestem”. O mało nie oszalałem z rozpaczy, chciałem wejść ze wstydu pod ławkę, bo czy mogłem kochać kobietę, która oświadczyła publicznie, że jest armatą? Może to było małoduszne, ale cóż, odkochałem się na całe życie. Na drugim końcu tego życia poznałem świetnego krytyka filmowego i przeuroczego człowieka Jerzego Armate, który z humorem i autoironią nosi swoje, skądinąd historyczne, nazwisko. Opowiadał mi kiedyś o zdarzeniu w pewnym hotelu, gdzie recepcjonistka na widok jego nazwiska doznała ataku niepohamowanego śmiechu. Zapytana, jak może pracować w takim zawodzie, jeśli tak reaguje na rzadkie nazwiska, odpowiedziała: „Przepraszam, ale ja się nazywam Działo”. Potem jeszcze odkryłem, że w redakcji, którą pan Jerzy kieruje, pracuje także pani Salwa...

Za szczęśliwe dzieciństwo uważa życie w umiarkowanym dostatku inteligentkiej, niewielkiej rodziny zasiedziałej w nie-małym mieście Lwowie, ale przez emigracje, I wojnę światową i inne wypadki losu odciętej od tradycji wcześniejszych pokoleń.

Wychowałem się więc bez dziadków czy licznych ciotek – czytam w archiwalnych tekstach Majewskiego – ale na statusie jedynaka (siostra urodziła się pięć lat później, no i nie była chłopcem), dość rozpieszczanego, ale niesprawiającego większych problemów. Rodzice moi pracowali na posadach średnich urzędników państwowych, chociaż z wykształcenia byli nauczycielami, toteż ich niezaspokojonym zapałom pedagogicznym zawdzięczam umiejętność czytania, więcej – nawyk czytania od piątego roku życia. Całymi dniami pochłaniałem górę książek i książkowe fikcje zaczęły grać równorzędną rolę, a może nawet

Rodzice,  
jeszcze narzeczeni,  
koniec lat dwudziestych.





ważniejszą niż otaczająca mnie autentyczna codzienność. Książki zaczęły też wyrabiać we mnie zamiłowanie do samotności, spokoju, porządku wewnętrznego i harmonii.

Już od dziecka lubi innym opowiadać przeczytane przez siebie książki, chce, żeby i oni przeżyli, zobaczyli we własnej wyobraźni i sercu to co on. Obok historii opisanych w książkach jego fantazję rozbudzają przedstawienia kukielkowe, jaśółka, żywe obrazy, okolicznościowe pantomimy.

Wojna burzy tę harmonię. Pierwszego września budzi go trzepanie jakichś dywanów. „Ta Wikta chyba oszalała – myśli – przecież jest dopiero szósta!”. Niania i jednocześnie pomoc domowa poszła jednak po świeże bułki i wnet wraca z wiadomością, że wybuchła wojna. Stają w oknie kuchni, skąd widać całe miasto między wzgórzami. Niebo roi się od niemieckich bombowców napływających falami od strony Winnik.

– Mam do dziś ten obraz w oczach: nadciąga rój samolotów, między nimi rozrywają się obłoczki ostrzałów artylerii przeciwlotniczej, pod nimi pojawia się mnóstwo czarnych punktów, a ja wykrzykuję: „O, coś rzucają!”. To były bomby. Jeden z samolotów zostaje trafiony, spada, ciągnąc smugę czarnego dymu. Huk bomb i pocisków zajadłe bijących zenitówek przebija silna detonacja: wylatuje w powietrze fabryka wódek Baczewskiego na Zniesieniu. Mama spogląda na ojca z ukosa i mówi półgłosem: „To najmniejsza strata”, a ojciec, optymista, przekonuje: „Niemcy są jeszcze daleko, jeszcze poczekajmy”. Nie może przewidzieć, że siedemnastego września wkroczy Armia Czerwona. Gdybyśmy ruszyli, jak wielu, do Rumunii, na pewno wyemigrowalibyśmy do USA, gdzie mieszkają siostry mojej mamy, jej brat, a nawet jeszcze rodzice żyją. Więc zapewne stałbym się Amerykaninem. Ale co bym robił? Może byłbym inżynierem w zakładach samochodowych w Detroit? Albo zwykłym robotnikiem na taśmie, konwulsyjnym ruchem, jak Chaplin w *Dzisiejszych czasach*, dokręcałbym całe życie śruby?

Piękna  
matka Janusza.





Stan wojny nie do końca ograbia chłopca z pewnej beztrojski, wpisanej w dziecięcy charakter.

– Mimo ciągłego zagrożenia, najpierw sowieckiego, potem niemieckiego, może się to wydać bluźnierstwem, ale znowu dla mnie nastąpiła wielka era książek. Kina i teatry przestały być dostępne, groźna zewnętrzna rzeczywistość nie przenikała przez zasłonięte szczelnie okna, złała się w długi, zaciszny wieczór zimowy, gdy w jedynym opalonym pokoju pochłaniałem stopy książek, niekoniecznie dostosowanych do mojego wieku. Poznałem całą domową bibliotekę mojej mamy: Anatole’a France’a z lekkim, subtelnym stylem, delikatnym dowcipem i piękną narracją w *Gospodzie pod Królową Gęsią* *Nóżką*, pełen angielskiego humoru *Klub Pickwicka*, kryminały Antoniego Marczyńskiego, autora dobrze znanego przed wojną. Zacząłem zauważać, chociaż może jeszcze nie wiedziałem dlaczego, że wolę Prusa od Sienkiewicza, Anatole’a France’a,

Dyrektor Technikum Łączności w Krakowie na ulicy Łobzowskiej 22 – Tadeusz Majewski (siedzi czwarty od lewej) – w otoczeniu profesorów i maturzystów, lata sześćdziesiąte.

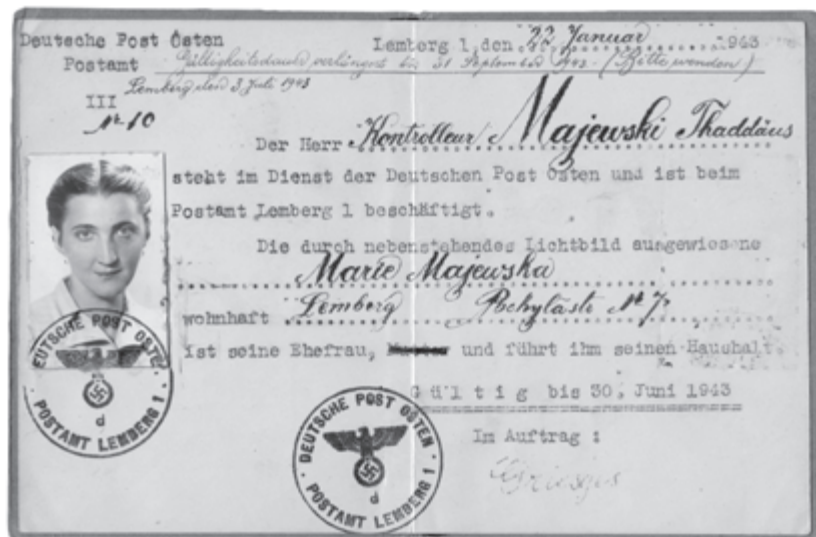
który swoim jadem ironii zatruł mi dzieciństwo, od Dumasa, a kiedy poszedłem do szkoły, uważałem już Sienkiewicza za pisarza dla dzieci. Zaśmiewałem się w głos w łóżku, kiedy czytałem *Przygody dobrego wojaka Szwejka*. Ojciec wchodził i mówił z powagą: „Czytasz po cichu, to po cichu się śmieję”.

Już w szkole nauczycielka nazywa go pożeraczem książek. Zwraca uwagę, że robi postępy w ćwiczeniu ironii. Nie ma nic przeciwko, żeby mieć taką postawę życiową, trzeba tylko zważać na miarę: z czego kpić trzeba, z czego można, a z czego nie należy. Zapamiętuje te uwagi na resztę życia.

Nie może wybić sobie z głowy filmu. – Nie mam już mojego projektora, który przyniósł mi kiedyś Aniołek na Gwiazdkę, postanawiamy zatem z kuzynem coś skonstruować. Chyba w czasopiśmie „Ster”, polskojęzycznym miesięczniku dla uczniów szkół podstawowych, znajdujemy opis budowy epidiaskopu, urządzenia do projekcji powiększonych obrazów nieruchomych, często używanego na zajęciach dydaktycznych.

Nam chodzi o ilustracje z książek. Kombinujemy soczewkę, sklejamy tubus, na korpus wykorzystujemy jakieś pudło. Z wypiekami na twarzy robimy pierwszą próbę. Działa! Obraz puszczany na ścianę nie jest zbyt duży, ale wyraźny. Planujemy seans: wyświetlimy ilustracje z książki z bajkami z równoczesnym czytaniem ich treści. Zapraszamy dzieci z sąsiedztwa, pięciu, sześciu kolegów, zaciemniamy pokój, co nie jest trudne, bo wszystkie okna mają obowiązujące podczas wojny ciemne zasłony. Na początku wszyscy poddają się magicznemu nastrojowi ciemnej sali, tej fundamentalnej tajemnicy fenomenu kina. Zapada cisza, na zawieszonym na ścianie prześcieradle ukazuje się pierwszy obrazek: dróżką przez las wędruje Czerwony Kapturek. Pokonując treść, zaczynam czytać, kuzyn obsługuje projektor. Dość szybko jednak się orientuję, że istnieje dysproporcja między czasem potrzebnym na odczytanie strony tekstu a obejrzeniem obrazka na ekranie. Widzowie zaczynają się niecierpliwić i popędzać kuzyna, żeby szybciej zmieniał obrazki. Próbuje ich uciszyć, ale w końcu





Ausweis  
Marii Majewskiej  
wydany we Lwowie.

ulega ich naciskom i przyspiesza tempo wyświetlania obrazków. W rezultacie, kiedy jestem w połowie czytania przygód Czerwonego Kapturka, on wyświetla już ryciny z kolejnej bajki, *Kije samobije*...

Cień okupanta przesłania jednak i domowe kino, i literaturę. – Z siostrą i rodzicami mieszkamy we Lwowie, w kamienicy siostry mojego ojca, w której część mieszkań jest na wynajem, a ojciec nimi administruje. W pewien dzień pojawia się sublokator zainteresowany garsonierą: młody, elegancki, smagły, przystojny bogaty Żyd z Borysławia, gdzie jego ojciec jest właścicielem szybów naftowych. Towarzyszy mu piękna dziewczyna, wyraźnie jest w nią wpatrzony, może to jego narzeczona. Oczu od tej pary nie mogę oderwać. Któregoś dnia ten wyjątkowy lokator przynosi gigantycznych rozmiarów obraz, na całą ścianę: realistyczne malowidło w stylu Siemiradzkiego przedstawiające kobiety w tunikach przy biblijnym źródle. Wielokroć pokazuje go mojej mamie, szukając w jej opinii potwierdzenia, że twarz jednej z kobiet na pierwszym planie podobna jest do jego dziewczyny. Zaraz potem następuje gehenna Żydów, zamknięcie w getcie. Nasz lokator zni-

ka. U nas pozostają klucze do jego garsoniery. Aż pewnego dnia on się zjawia, wynędzniały, zarośnięty. Jesteśmy w naszym mieszkaniu sami z siostrą, prosi o klucze, dajemy mu. Niezadługo wraca matka, szykuje mu jakieś jedzenie i idzie, razem z nami, go przywitać. Drzwi zastajemy uchylone, jego już nie ma. Tylko na zakurzonym obrazie pozostała „odsłonięta”, zapewne gestem dłoni, twarz kobiety, tej podobnej do jego ukochanej, jakby przyszedł ostatni raz się z nią zobaczyć, pożegnać... Chociaż mam dopiero dwanaście lat, ten gest „odsłonięcia” mnie porusza, wydaje się metaforyczny, literacki, a owo zdarzenie staje się źródłem mojego późniejszego opowiadania, publikowanego w „Almanachu Młodych”.

Grünbaum, chyba Salomon, szczególnie lubił jakieś stare sentymentalne tango czy może to był walc angielski, jak się wtedy mówiło – boston. Przedwojenny szlagier. Refren brzmiał w jego ustach jak tajemnicza maksyma filozoficzna: „I zawsze będzie czegoś mi brak...”. Tkwiło to w moich uszach długo, budząc niejasne dzieciinne niepokoje. [...] Pewnego dnia Grünbaum zajechał przed dom wielkim, meblowym wozem. Tragarze wnosili coś ciężkiego. [...] Matka zakazała mi otwierać drzwi do przedpokoju, obawiając się o przeciągi, musiałem więc, zniecierpliwiony, czekać, aż wszystko ucichnie. Wtedy wpadłem do pokoju Grünbauma. Stał pośrodku i z dumą pokazywał matce swój nabytek. Był to olbrzymi obraz zajmujący całą ścianę aż do sufitu. Już sama rama zachwycała mnie swoją grubością i wyszukaniem, złożonym ornamentem. Obraz przedstawiał mitologiczną scenę: w cieniu palm i cyprysów, na kamiennych stopniach źródła stało kilka młodych kobiet w białych, powłóczystych szatach, w tle [...] na dalekim morzu bieleły się żagle łodzi. [...] Urzekły mnie zdecydowane kolory i bogactwo misternych szczegółów. Dotknąłem ręką tryskającego strumienia w przekonaniu, że na palcach poczuję chłód wody. [...] Jedna z przedstawianych

na obrazie kobiet bardzo jest podobna do pani Róży, która ostatnio rzadziej już odwiedzała naszego sąsiada. [...]

Grünbaum zniknął z domu jeszcze przed wkroczeniem Niemców do miasta. [...] Któregoś dnia niespodziewanie zapukał do drzwi.

– Sam jesteś, Ludwiku? – zapytał.

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Ja tylko na chwilę – stale mówił szeptem. – Muszę zobaczyć obraz.

Zaprowadziłem go na strych; gestem dał mi do zrozumienia, że mam go zostawić samego.

Upłynęło kilka minut. Zdobyłem się na odwagę i pobiegłem na górę.

Strych był pusty. Nie słyszałem nawet, kiedy wyszedł. Podszedłem do obrazu. Kurz wielu miesięcy jeszcze bardziej przygasił rysunek i barwę. W jednym tylko miejscu kolory były wyraźne jak dawniej.

Było tak, jak gdyby ktoś dotknął go bezwiednym, zamyślonym ruchem dłoni.

Na swoje dwunaste urodziny Januszek dostaje kromkę chleba posmarowanego prawdziwym masłem i posypanego cukrem. Chleb kulikowski, od nazwy małej wsi w tarnopolskim, Kulików, słynie z wyjątkowej mąki, z której piekarnia Natana Schwartza przy ulicy Źródlanej 23 (obecnie ulica Dzerżelna 23) wypieka pyszny chleb – biały, żytni, z kminkiem, z chrupiącą skórką z czarnuszką, bardzo popularną w kuchni galicyjskiej. Opiewają go w wierszach i piosenkach, tekst o nim autorstwa Mariana Hemara śpiewa solistka lwowskiego zespołu Szczepcia i Tońka – Włada Majewska:

A jak go przekrajać – to pod mosiądzem skórki

Takie duże oka, takie duże dziurki!

Bo on lekki jak pączek! (Ale nasz, nie tutejszy,

Że jak zjesz go, to kamień w żołądku jest lżejszy)

Bo on lekki jak pianka, aż dotknąć się frajda  
I już w ręku pachnąca, gorąca jeszcze pajda,  
Jak żywa – ta zdaje się, że nagle tobie powie:  
Ta zjedz mnie i niech tobie wyjdzie na zdrowie.

Zapach i smak kulikowskiego chleba i ulubionej maczanki (rosolu z dużą garścią kminku i namaczaną w nim bułką), niepokoje załamania rytmu miłego, rodzinnego dnia, pierwsze doznania erotyczne, a z nimi Lwów – wszystko to musi opuścić z rodziną dość nagle, kiedy ojciec dostaje poufną wiadomość, że może zostać aresztowany za udział w nielegalnej organizacji. Uciekają do Pantalowic, gdzie wuj matki jest proboszczem. Pół roku później, w lutym 1945, osiedlają się w wyzwolonym już Krakowie.

– Chłopiec nie myśli o tym, co było, ale o tym, co będzie – dzieli się refleksją Majewski.

Nie od razu odczuwa, co mu odebrano: korzenie, piękno, elegancję tamtej epoki, cudowne, o europejskim rozmachu miasto wielkiej urody i klimatu, który współtworzyło wiele narodowości żyjących razem przez wieki. Lwów i jego tramwaje, ruchliwe ulice, kolorowe wystawy sklepowe, wyjątkowo piękny architektonicznie, z trzema scenami Teatr Wielki, znany w Europie uniwersytet. Jeszcze nie wie, że to koniec niewinności. Za progiem smak nie zawsze poukładanej, ale silnej w niepowtarzalne marzenia młodości...

---

Jest 2015 rok. Trochę jeszcze zimy, a już tchnie wiosną. Pierwszy klaps *Excentryków*. Opuszczona willa na terenie ośrodka rehabilitacji w Konstancinie zmienia się w pensjonat w Ciechocinku z lat pięćdziesiątych. Wytęskniony film Janusza Majewskiego, powracający do czasu najczulszych lat, kiedy ostatni raz był młody, lat popaździernikowej odwilży, smutnej i byle jakiej rzeczywistości, ale też kwitną-



cych na tym kawałku ziemi, wyjąłowanej strasznościami wojny, talentów, szalonych pomysłów, wygłupów, zabawy, wódki, wina i seksu, sprzeciwu wobec szarości ulicy – koloru i wyzwalającej radości muzyki: cudownego, choć grzesznego jazzu.

Fragment scenopisu:

Moja ojczyzna to jest ta nasza muzyka – mówi w filmie główny bohater, Fabian, a jego opowieść jest fragmentem prawdziwego życiorysu reżysera. – Byłem kiedyś w Ameryce, idę Manhattanem, słyszę – grają, jakaś piwnica, nora, wchodzę, pięciu dziadków, czarnych. Boże, jak oni grali! Poczuję, że wróciłem do domu, łzy mi pociekły, jak synowi marnotrawnemu... A ta prawdziwa moja ojczyzna, ten dom na Łyczakowie? Moje życie we Lwowie? Płakałem w tej piwnicy w Nowym Jorku, że nie mogę tam wrócić przez jakichś łajdaków, kretynów... [...] To oni mają swoją ideologię i swoją nikczemność. A my mamy swing i tych wszystkich, co chcą nas słuchać. [...] Swing to jedyne, czego nigdy nie zabije żaden marksizm, leninizm. Nie można zatłuc tęczy, słońca czy majowej mgiełki, nawet jakby się miało sto milionów pałek. Tylko my musimy być jak Adam i Ewa w raju: goli, niezbyt rozumni i nie obrażać Pana Boga. Bo on jest rozpisany na pięcioliniach i śpiewa do nas przez drewno i blachę! Wtedy żaden diabeł nas nie weźmie! [...]

Otwiera futerał puzonu, wyjmując instrument, ustnik i płaską butelkę whisky Bowmore Islay. Nalewa whisky na flanelowy gałganek, trzykrotnie przeciera ustnik i osadza go w instrumencie. Zaczyna grać standard jazzowy *On the Sunny Side of the Street*.

Ton i rytm jazzu towarzyszą życiu Janusza Majewskiego tak jak filmowi muzyka, która idzie w parze z obrazem, jest jego cieniem, a nawet odbiciem lustrzanym.

Jazz: spontaniczność, wyrafinowana prostota, elegancja. Jazz do słuchania, tańczenia i na pogrzeb. Porywający. „Nie każdy może być Hamletem, każdy za to może przeżyć jazzową przygodę na dansingu” – zauważa Stefan Kisielewski.

Jazz w Europie nie od razu był szanowaną muzyką, choć o ten szacunek wcale nie zabiegał – przypominają znawcy jego historii. W początkach lat trzydziestych jeden z angielskich dzienników tak zapowiadał czytelnikom pierwsze tournée po Starym Kontynencie „księcia” jazzu: „Duke Ellington nie jest jakimś tam zwykłym negrowskim jazzistą, jest wykształcony i ma maniery gentlemana”. W przedwojennej Polsce jazz gra zespół Karasińskiego i Katuszka Jazz-Tango-Orkiestra. Cieszy się popularnością w eleganckich lokalach, a nawet zostaje wynajęty do akcji reklamowej i odbywa tournée po Polsce, promując motocykle marki Indian.

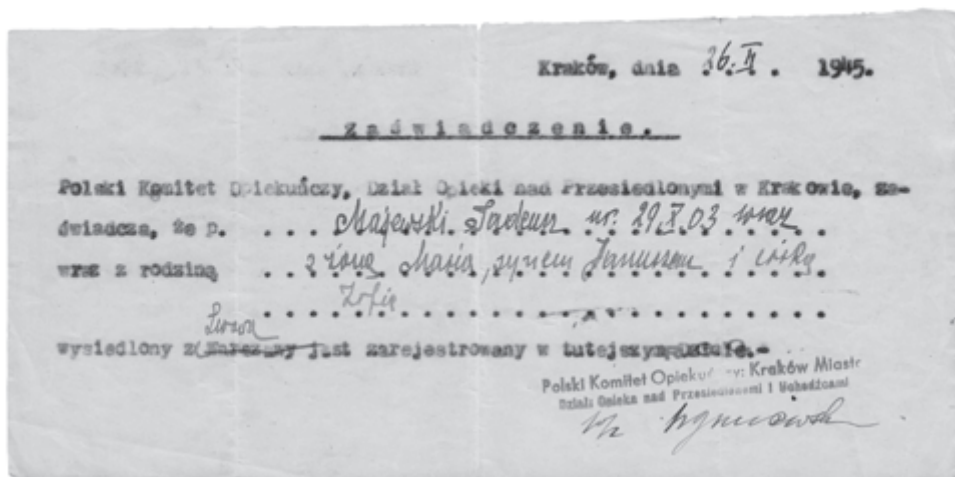
Jazz naszych lat powojennych: pewien sposób bycia, styl, kultura, tęsknota za Zachodem, rekompensata tego, czego nie było. Podmuch radości, ozdrowieńczy, zapominasz o codzienności i przenosisz się do innego świata: swobodnego, natchnionego wolnością. Ale jazz może też być argumentem politycznym: „Kiedyś ktoś Krzysiovi powiedział na zebraniu: «Korea płonie przy dźwiękach jazzu, a kolega Trzcziński uprawia tę muzykę»” – przytacza historię Zofia Komiedowa w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.

– Religia mojego pokolenia... – wyraża przekonanie Janusz Majewski. – Z muzyką rosłem od dzieciństwa. Kiedy byłem mały, wierzyłem, że w skrzynce radia ukryte są karzełki, które mówią, grają, śpiewają, i to wydawało mi się naturalne. Zastanawiałem się tylko, co one robią, gdy radio milczy, gdy jest cisza w eterze. Ta cisza fascynowała mnie najbardziej, najżywiej pobudzała moją wyobraźnię. Cisza przed czymś lub cisza po czymś. Ona była pierwszym zapamiętanym przeze mnie doświadczeniem dźwiękowym, któremu można przypisać znaczenie artystyczne. Cisza może mieć przecież całą paletę barw. Jest też dźwiękiem.

Ojciec mój był muzykalny, miał dobry słuch, chodził do kościoła, żeby śpiewać kolędy. Lubił operę, nawet nieźle, z pewnym wręcz zapamiętaniem czy natchnieniem, śpiewał w domu arie operowe. My z siostrą i mamą nie mieliśmy takiego daru. Ja z opery się nawet wyśmiewałem, drażniła mnie ta konwencja.

Zaczyna wrastać w nowe miasto: niezbombardowane, piękne, historyczne. Gołębie, Planty, Wawel, Wisła i hejnał z wieży mariackiej. Po wyzwoleniu, po zrównanej z ziemią Warszawie, skąd przenosi się do Krakowa część inteligencji, jawi się inny świat, dobra aura dla ludzi sztuki. W pierwszych powojennych latach dopiero się krzewi zniewolenie i dominacja „władzy ludowej”. Ciągle jeszcze owocują stare przedwojenne pędy.

– W kiosku zachodnia prasa. Czytam angielskie wydania „Esquire” lub „Men Only”, protoplastę „Playboya”, a po polsku redagowany „Głos Anglii”. W kinie oglądam półgodzinne amerykańskie filmiki muzyczne prezentujące takich wykonawców jak Benny Goodman czy Tommy Dorsey, nie mówiąc o Armstrongu, którego pierwszy raz wtedy zobaczyłem i usłyszałem – gra na trąbce z założonym przez siebie zespołem Hot Seven.





# Uwodzi zawsze, nawet kiedy nie chce.

Czaruje kelnerkę i aktora, widza i czytelnika. Emanuje ciepłem, elegancją, spokojem, dowcipem i błyskotliwością.

Od 60 lat ma romans z filmem – i poprzez ekran uwodzi zbiorowo.

Każdy jego film jest odmienny gatunkowo, nie daje się zaszkladkować.

Ma ich na koncie blisko 100: obyczajowe (*Zakłète rewiry*),

melo- i dramaty (*Zazdrość i medycyna*), historyczne (*Królowa Bona*),

parę kryminałów, jeden horror, wiele teatrów telewizji,

komedie sensacyjne (*C.K. Dezerterzy*), erotyczne, seriale

(*Siedlisko*) i najnowszy muzyczny (*Excentrycy*).

## Kręci tylko to, co kręci jego samego,

czyli światy z przeszłości – bardziej eleganckie

i subtelniejsze niż nasz. Wciąż chce mu się robić filmy,

by nas uwodzić. Poddajcie się jego urokowi.

ZOFIA TUROWSKA – dziennikarka prasowa i telewizyjna, autorka bestselleru *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką*, sagi rodziny Onyszkiewiczów *Gniazdo* i powieści o łódzkiej Szkole Filmowej *Filmówka*. Dla Marginesów napisała m.in. *Fotobiografię* o Zofii Nasierowskiej, żonie Janusza Majewskiego.



[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 49,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

